11. Listopada. **Nr. 45.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:

kwartalnie . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

Przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

XIII.

Kiedy Szeremet dzień cały ugania w pocie czoła za pracą, kiedy Szeremet kocha, chce ożenić się ze Stasią i stanąć w społeczeństwie nową rodziną; kiedy pan Boromeusz także w pocie czoła stara się podtrzymać upadającą swą rodzinę — jest człowiek, który tegoż dnia chciałby być niszczycielem rodziny. Człowiek ten chodzi ciepło odziany po ulicy i czeka, oczekuje Melanji. Felicjan Racimorowski, bo to on, niecierpliwi się. Zmysłami oduzony nie widzi nic chwilami, bo zdaje mu się, że trzyma w objęciu piękną tę dziwczynę, składa namiętne pocałunki na jej ustach koralowych. a po tygodniu, uśmiecha się szyderczo z jednej a przymila już z drugiej strony innej dziewczynie. Sądziłby kto przypatrzywszy się człowiekowi temu, że to człowiek szalony lub zakochany, a on zakochany zmysłami, a głowa podaje mu rozmaite projekta. On wszystkie przyjmuje i czeka. Zbliża się nakoniec oczekiwana.

Godzina dwunasta w południe; Melanja powraca do domu. On zbliżył się do niej i ukrywa oczy. Melanja spojrzała w oczy jego. Dziwna ich siła! Ogień palący Felicjana przekrada się do serca, a on sam kamienieje, choć płonął przed chwilą. Projekta głowy rozpierzchają się naraz, z trudnością sili się je pozbierać, probuje usidlić dziewczynę pięknemi słowy, ale słowa nie mają skutku. I znowu idzie czas jakiś obok niej i obawia się podnieść wzroku ku niej i przemawia:

— Jak mię to boli, że pani musisz chodzić pieszo tak daleko.

— Bardziej mię męczy ubolewanie pańskie niż chodzenie.

— Jestem może natrętnym?

— To by mię nie gniewało.

— Więc co mam czynić, co myśleć?

— Zdaje mi się, że chciałbyś uchodzić za człowieka.

— Pani! gdyby tak do mnie kto inny odezwał się...

Melanja przerywając, mówiła dalej:

— Zdaje mi się, że człowiek ma jakieś zadanie, obowiązki na świecie. Zresztą, czy to do mnie należy uczyć pana?

— Na Boga! co słyszę! Pani mię poniżasz.

— O! jabym chciała podnieść pana! — wymówiła Melanja z westchnieniem i tak dziwnym głosem, że Felicjan mimowolnie podniósł oczy i spotkał się z jej wzrokiem przenikliwym. I znowu serce jego przebiegła jakby iskra elektryczna — na chwilę.

Racimorowski szedł z pochyloną głową, myślał, nakoniec jakby uderzony pomysłem szczęśliwym zatrzymał się i odezwał:

— A gdybym ja upadł na kolana, powiedział, że panią kocham, kocham aż do szaleństwa?!

— Gdybyś pan powiedział? Już powiedziałeś, ale nie czujesz tego co mówisz, tylko obrażasz.

— Przepraszam, przepraszam! Szczerze żałuję. Ale wierz mi, że kocham, że się odmienię!

— Dobrze, zacznij pan pracować nad sobą i zajmij się czem. Nie wiem dobrze, czego panu w oczach moich brakuje, może sam to pojmiesz lepiej. Nie bierz życia za igraszkę, miej serce, tak jak ja je mam, a możesz być szczęśliwym.

Racimorowski zaczynał pierwszy raz w życiu słuchać słów podobnych nie szydząc z nich w duchu. Spokój jakiś i nadzieję uczuwał w sercu. Już miał dać słowo jej i sobie, że zmieni postępowanie. Kiedy tak dwa duchy ważyły się w jednej upadłej duszy, Melanja wyprzedziła go o kilka kroków, ażeby ominąć wodę na chodniku stojącą. Byli już na odległem przedmieściu Łyczakowskiem, Melanja szła jeszcze poprzód, bo trzeba było iść ostrożnie, ażeby przestępować często jamy pełne wody. Przy jednem takiem miejscu, gdzie niepodobna było ominąć wody, aby nie kroczyć po błocie, Melanja ściągnęła ręką suknię do koła tak, że odsłoniła kształtne nogi aż cokolwiek nad buciki damskie. Racimorowski idący za nią, poskoczył nagle i uchwyciwszy za ręce zawołał cały drżący:

— Słuchaj, do czego nam złudzeń! Ja nie mogę się z tobą żenić, jestem bogaty... Mam pieniądze, obsypię cię złotem, ale bądź moją jak długo zechcę, chwilę tylko! Dam ci tysiąc, dwa tysiące...

Melanja wyrwała się z rąk konwulsyjnie ją trzymających, a odstąpiwszy kilka kroków, odezwała się z pogardą:

— Nikczemny! Nie powinnabym ani słowa więcej do ciebie przemówić, bo nie wart jesteś słowa, ty bogaty, biednej dziewczyny! Ale wiedz, tak się tobą brzydzę i pogardzam, jak mogłabym była kochać! Wszak prawda, że nie jesteś człowiekiem? ty panie, przeczułam to. Niech go więcej nie spotkam w życiu mojem. To ostatnie moje słowo, jedyne życzenie.

Blada była i drząca, a oczy jej łzami zaszły. Jeszcze raz spotkał pan Racimorowski wzrok ten pociągający go, jeszcze raz uczuł całą jego siłę budzącą serce, ażeby już nigdy nikt inny w serce to nie mógł wszczepić swego obrazu. Cień jej postaci pozostał w opustoszałej niegdyś piersi Felicjana. Czy dalsze życie nie zatrze i tego lekkiego rysu? — ona nie pytała. Odeszła dumna i spokojna.

Racimorowski pozostał na miejscu i stał długo, dopóki nie stracił z oczu uchodzącej zwolna Melanji. Czy straty jej żałował, czy upadał niżej, jak poprzednio — trudno odgadnąć. Ocknąwszy się, zawrócił ku miastu, wyrzekłszy półgłosem:

— A jednak szkoda! Czemu ona nie urodziła się przynajmniej w domu wioskowego szlachcica! Bo mój ojciec...

Z tem poszedł.

Wkrótce zniknął w wirze i gwarze miejskim.

Melanja powróciwszy do domu ukryła się w drugiej, szczupłej izdebce, zkąd wyszła w pół godziny może. Wyszła smutniejsza, blada, a po oczach można było sądzić, że płakała. Zbliżyła się do stolika Stasi, prosząc o jaką robotę. Stasia spojrzała ździwiona na siostrę, bo nigdy nie pomagała jej Melanja. Zabrawszy się skwapliwie do pracy, przesiedziała w milczeniu kwadrans, poczem ozwała się zcicha do Stasi:

— Stasiu! połóż robotę, ty już dziś za długo siedzisz.

— A przecie wszystko za mało! — odparła Stasia z westchnieniem.

— Pomagać ci będę codzień, połóż! — prosiła Melanja.

— Ale co się tobie stało?

— To, co się powinno było stać od dawna. Młodsza odemnie, robiłaś na nas wszystkich, a ja, którabym powinna być dla was przykładem...

Nie skończyła i rozpłakała się.

Stasia rzuciła się na szyję siostry i uspakajała ją:

— Melańciu! moja droga, czego ty płaczesz? Przecież nie robiłam ci nigdy wyrzutów. Mówiłaś, że nie możesz pracować jak ja, i myśmy ci wierzyły...

— Właśnie, właśnie, że nie skarzyłaś się nigdy choć tak ciężko pracując, to mię boli i ciebie mi żal. Stasiu, ty zdrowie tracisz a masz żyć dla kogo...

— Ja też umierać nie myślę — odezwała się Stasia żartobliwie chcąc rozerwać zasmuconą siostrę. Nie umierałabym, chyba razem z Aleksandrem.

Melanja umilkła i zaczęła znowu pracować; nie pomógł nic niewinny żart Stasi. Ale Melanja pomimo skrytości, nie potrafiła dzisiaj zachować milczenia. Złożyła powtórnie robotę i wpatrzywszy się jak w obraz w Stasię, powiedziała głosem drżącym:

— Jakaś ty szczęśliwa!

— Ach! tak, gdyby on szczęśliwszy, gdyby my szczęśliwsi!

— Ale przecie, kochasz Aleksandra, i wierzysz, że on wart twego kochania.

— Wiesz o tem sama.

— Wiem Stasiu, wiem...

I nie skończyła. Przysunęła się do Stasi i położywszy głowę na jej piersi, zaczęła rzewnie płakać.

— Stasiu droga! moja siostro! nie odpychaj mnie niedobrej dawniej siostry, pozwól mi płakać tak przy tobie. Ty masz kogo kochać, ty wiesz, że serce tego, któregoś ukochała — twoje! A ja, a ja... Wyobraź sobie ile cierpię, kiedy muszę pogardzać tym, któregom już kochała...

— Jakto! Felicjan?...

— Niegodny wspomnienia. A ja przecie nie byłam tak złą; gdyby cokolwiek szlachetniejszy a był mię pokochał, o! jakże mógł być szczęśliwym.

— Melańciu! któż wątpi o tem? Przecie nie ja Cożeś ty winna, że nie lubiłaś Aleksandra? Dla tego miałabyś być niedobrą?

— Ja bardzo cierpię, ale niech o tem nikt nie wie. Stasiu, my obie tylko wiemy o tem, nie wspominaj nic mamie, bo tata zresztą jakby to nie interesowało.

— Nie mów tak, nie mów! Tato, kto wie czy nie więcej cierpi jak my wszyscy. A jak już wygląda. I dziś, tak rano wyszedł zapewne nie dlo rozrywki, a już pierwsza, dotychczas nie powraca. A o żadnem z nas nie zapomina; wczoraj pytał o Cezara. Myśleliśmy, że on wyjechał znowu na prowincję, tymczasem, wiesz: Cezio był dziś rano!

— Jest we Lwowie i nie pokazuje się w domu? — wyrzekła Melanja, jakby z wyrzutem.

— O! ja go rozumiem, i on to dzisiaj właśnie sam powiedział. Nie pokazuje się, bo nie chce być przyczyną większej jeszcze biedy naszej. Mówił mi także, że chce się zapisać na technikę i teraz się uczy, a Aleksander mu pomaga.

— Bogu dzięki! bo co to z tego, gdyby się włóczył jak dotąd z temi teatrami po małych miastach.

— Melańciu, Melańciu! tam są uczciwi ludzie.

— Ależ ty ich nie znasz.

— Cezar mówił.

— Chciałabym się z nim widzieć; czy nie mówił ci gdzie mieszka?

— Razem z Aleksandrem.

— A on?

— Ja wiem gdzie.

— Możebyśmy poszły dziś po południu do niego?

Stasia nic nie odpowiedziała przez chwilę, aż odezwała się po niejakim czasie z uśmiechem:

— Kiedy ty chcesz, to ja najchętniej. Ale dziwi mię, że to ty się odezwałaś z tem. Bo ja dawno wiem, że mną świat się nie interesuje, więc nikt na to i uwagi nie zwróci.

— Moja Stasiu! już wiesz, żem się zmieniła, tylko nie przypominaj mi moich dziwnych zdań wczorajszych... Byłam w obłędzie, ale to już minęło. Przyjmowałam od tego niegodnego człowieka zdania, które mi się zdawały bardzo dobre, gdyby... Ale... — i nie skończyła, a powstawszy od stolika Stasi, dodała:

— To pójdziemy po objedzie?

— Dobrze — odparła Stasia.

Czekano czas jakiś na pana Boromeusza, ale napróżno. O trzeciej spożyto skromny objad i Melanja ze Stasią wybrały się do miasta. Stasia mając dokładne opisanie, trafiła od razu do pomieszkania Aleksandra. Zastały tylko Cezara; zajęty był nauką. Po części wpłynął nań Aleksander, ale większy jeszcze i stanowczy wpływ wywarła na nim Anusia, córka sąsiadującego i głównego lokatora, znanego już pana Pawła. Pan Paweł oświadczył po prostu, że gdyby Cezar był dłużej komedjantem, to nie ma po co pokazywać się w jego domu. I Cezar, jakkolwiek ubolewał nad zaślepieniem ludzkiem i nie pojmował takiego uprzedzenia, porzucił jednak myśl zostawania nadal przy scenie, a wziął się do pracy, która miała zapewnić mu przyszłość.

Melanja szła nie dla widzenia się tylko z bratem, szła do niego w interesie. Jak tylko przybyły, zapytała zaraz Cezara, czy nie wie, gdzie teraz towarzystwo dramatyczne, które on porzucił.

Stasia spojrzała zdziwiona na siostrę; Cezar odparł, że go to nie interesuje, ale wie gdzie przebywa to towarzystwo.

— Możebyś ze mną pojechał? — odezwała się nagle Melanja.

— Poco? — odparł Cezar.

— Chcę być artystką!

— Ty?

— Tak, ja! Niech was to nie dziwi; samiście bronili ludzi tego zawodu, ty Cezarze i Stasia za tobą, a teraz tak źle przyjmujecie mój projekt.

— Bo mnie się zdaje, że to niepodobne do prawdy, ażebyś ty... — zaczęła Stasia i nie skończyła.

— Czyliż widzicie co hańbiącego w tem?

— Broń Boże! — zabrał głos Cezar. — Nic hańbiącego; ale zawsze coś, ja sam nie wiem co, coś dzielącego artystów od reszty świata. Słowem, ty nie będziesz mogła znieść tego czepiania się z blizka i z daleka ludzi nie znających ciebie a ogadujących. Co do mnie, nie radzę ci, jabym się nawet sprzeciwił i ojciec pewnie sprzeciwi się. Zresztą rób jak chcesz, albo — zdajmy się na sąd Szeremeta.

— Dobrze, on mi pewnie odradzać nie będzie. A co do znoszenia, czy ty wiesz co ja znieść muszę? Gdy muszę, to widać, że mogę, kiedy żyję.

— Cierpiemy wspólnie, ja tak dobrze, jak wy, choć nie jestem w domu — odparł Cezar.

W tej chwili zbliżyła się Stasia do brata i ozwała się zcicha:

— Poznaj nas z tymi, co mieszkają tutaj w sąsiedztwie. Ja wiem, że masz tam znajomość z jakąś panienką; niech cię to nie gniewa, że ja wiem, mówił mi Aleksander, i na niego nie pogniewaj się za to.

Cezar zarumienił się i stał chwilę zamyślony, nie zdecydowany, nie wiedząc co odpowiedzieć, aż Melanja wmięszała się do rozmowy.

— Macie ze Stasią sekreta, których się domyślam. I doprawdy wartoby się poznać z twoją przyszłą narzeczoną.

Cezar spostrzegłszy, że już się nie ukryje, rzekł otwarcie:

— Chciałyście wiedzieć, to wiedzcie! Kocham ją, ale Bóg wie kiedy przyjdę do czego.

— Prędzej czy później musisz coś mieć — wyrzekła Melanja. — Jesteś mężczyzną. Prowadź że nas i poznamy się; teraz i tak wszyscy nas unikają, może choć biedni zechcą żyć z nami.

— O ręczę, że to uczciwi ludzie.

I poszli, Cezar naprzód a siostry za nim naprzeciw do pokoju pana Pawła. Pierwsze, co ich uderzyło, był widoczny niedostatek i widoczne usiłowanie utrzymania mimo biedy porządku i czystości. Zupełnie jak u nas — pomyślała w duch Stasia. T e r a z i u nas nie lepiej — pomyślała znowu Melanja. Po zwykłych formalnościach nastąpiło zbliżenie. Rozgadały się Stasia z Anusią, Melanja zachowała się biernie, bo była smutna. Porównywała w myślach pana Pawła z ojcem.

Posiedziawszy z pół godziny, opuściły ten szczupły przybytek niedostatku, aby powracać i nie zapominać o swoim.

Kiedy wyszły, zrobił uwagę pan Paweł, że Anusia mogłaby wiele korzystać od sióstr Cezara, i zgadzał się nawet, aby co niedzieli chadzała z nim do Stasi. Cezarowi było to bardzo na rękę, bo ostateczną decyzję na korzyść własną w tem upatrywał. I wszystko szło dobrze, bo nawet miał nadzieję pan Paweł otrzymania wkrótce posady, tylko jedno ciągle jeszcze powtarzał:

— Jak pan tylko mogłeś być komedjantem przez pół roku? I to pan zrobiłeś, ukończywszy szkoły. Ja tego rozumieć nie mogę.

— Zamiłowanie — odparł Cezar.

— At, co to znaczy? Ta już ja dosyć nieszczęściem przywalony jestem, więcej jak pan wtedy, kiedyś się żegnał z nami, a przecie...

— Nie zostałbyś pan artystą? — rzekł z uśmiechem Cezar.

— Nie! słowo daję! Choćbym miał zamiłowanie i talent, jak pan powiadasz. A bardzo, bardzo nieszczęśliwy jestem!

Pan Paweł powtarzał często o nieszczęściu swojem, wzdychał i pozował się na nieszczęśliwego. W jego utyskiwaniach było zawsze coś okropnego, patetycznie wygłaszał o swojej niedoli. Nie mniej on czuł, jak inny naturalnie się zachowujący, ale lżej mu przychodziło znosić niedolę, gdy się wygadał. Pozowanie to chroniło go nieraz od rospaczy, chociaż nie wiedział o tem. Łudzenie samego siebie, że jest się w okropnem położeniu, kiedy ono jeszcze znośne, przygotowuje do znoszenia większych, rzeczywistych nieszczęść. Pan Paweł uważał za rzecz niesłychaną, jeżeli mu się w tygodniu nie powiodło załatwienie kilku interesów, które nieraz załatwiał, to też kiedy przyszło do braku nieraz kawałka chleba, później, nie rospaczał jeszcze, bo już dniem naprzód uważał się za najnieszczęśliwszego z ludzi. Była to natura prosta, ogarniająca naprzód rozmaite losu niestałości. Uciekał się wprawdzie nieraz do trunku i tłumaczył, że to nie człowiek się rujnuje i poniża, ale że po prostu wyrządza figla losowi, który chciał go niespodziewanie powalić z nóg, a on mu tymczasem podchmielony sam do nóżek się ścieli, ale wtedy, kiedy sam tego zechce.

Innym, wprost przeciwnym charakterem był ojciec Cezara, pan Boromeusz. Los go wprawdzie do ostatka nie pokonał, chciał pracować! Ale kiedy wszelkie zabiegi okazały się bezskuteczne, kiedy nagle odstąpili go przyjaciele i znajomi — uczuł to także nagle, uczuł okropnie. W domu nędza! dzieci biedują, znajomi zapoznali — przyjaciół jakby nie miał. Wszystko to złożyło się na cios jeden, ale ciężki, i pan Boromeusz upadał pod nim! Dnia tego czekano nań w domu do późna. Wrócił około jedenastej, bo z drogi jeszcze, już blizko od domu, wracał za czemś do miasta.

Wszyscy byli w obawie; pan Boromeusz przyszedł jednak bardzo spokojny, ale prosił o jakikolwiek posiłek, aby mu go podano do drugiego pokoju. (C. d. n.)

Dziecię, czy dziewica?

Moja pieszczotka istna zagadka,
Nieodgadnięta i jakaś dziwna...
Czasem poważna, jak gdyby matka,
To znów jak dziecię, cudnie naiwna.
Oczarowany, patrząc w jej lica,
Pytam: dziecina, czy też dziewica?

O, filut dziewczę! jaka trzpiotliwa...
Wplatając różę do swych warkoczy,
Dręczy słowami, męczy, złośliwa!
A przytem patrzy tak słodko w oczy...
Ach! to spojrzenie, chętniej niż wina,
Piłbym, pytając: Dziecię?... dziewczyna?...

To cudną główkę wsparłszy na dłoni,
Okiem i duszą płynie z gwiazdami...
Ach! ja się wówczas nie zbliżam do niej,
Bo niebios przedział jest między nami!
Tak rzewnie tęsknić do gwiazd, księżyca,
Może: aniołek — dziecię — dziewica?!

Kiedy mi smutno — z oczu wyczyta,
Co się tam w sercu, w duszy ukrywa.
Zbliżę się do niej — róża rozkwita
Na jej twarzyczce... Jak łań płochliwa
Zrywa się... „Mama!...“ grozi naiwna,
Od róż piękniejsza, a taka dziwna...

Nieraz zalotnie oczka przymruży,
I pyta: Pięknie zdobi opaska?
A cmoknę w rączkę — ładnie się zchmurzy,
Lecz wnet się śmieje i w dłonie klaska.
Dawno z północy — późna godzina...
Ja niespiąc pytam: dziewczę — dziecina?

Wtedy — ach, była taka powabna!
Złączyłem usta z jej koralami...
Spojrzę w oczęta — rzęsa jedwabna
Błysnęła łzami, jak brylantami!
Ach, wiecznie patrzeć chciałbym w te lica,
Pytając: dziewczę, czyli dziewica?

Zawód.

Naznaczyła zchadzkę,
Wybiła godzina,
Próżno patrzę wszędzie...
Nie dobra dziewczyna!

Lecz co tam, poczekam,
Wszak nie późno jeszcze.
Za to, gdy nadejdzie,
Dłużej się popieszczę.

Idzie, idzie, idzie!
Krew mi tryśnie z łona...
Ach! to stara baba —
Jam myślał, że „o n a!“

DO PIĘKNEJ.

Kwiaty i pieśni niosę ci w darze.
O, pozwól pani u nóg twych siąść,
Niechaj półsenny, o raju marzę...
O, zechciej cudna, te kwiaty wziąść.

Róża woniąca ciebie rozmarzy —
Może o lubym twym będziesz śnić...
A mnie z twych liców, z twej cudnej twarzy
Pozwól nektary omamień pić.

Niech ci się zdaje, że ptaszę śpiewne,
Z złamanem skrzydłem, u twoich nóg
Spoczęło chwilkę — drżące i rzewne,
Szukając dawno zginionych dróg...

I w blasku oczu, w lilii czoła,
W ust twych rubinie, w pogodzie lic
Szuka balsamu, jak u anioła,
Słowa pociechy... Nic więcej! nic...

Kwiaty i serce niosę ci w darze.
O nie broń pani u nóg twych siąść,
Niechaj o raju, wpółsenny marzę,
Że z kwiatem serce chcesz moje wziąść.

K. Ostrowski.

Recenzje.

B. Bolesławity **„Hybrydy,“** *powieść spółczesna. Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta 1869 r.*

Wiesbaden. Że to miejsce kąpielowe i modne — mamy tu polaków z różnych stron kraju, przedewszystkiem ze świata t. z. wyższego. Są tu hrabiowie, prezesowstwo, baronowe; a nawet jedna z nich jest bohaterką powieści — może pomimo woli autora... Jest szlachcic z Kongresówki, polak-moskal z Petersburga, emigrant z ostatniej emigracji — oszust; jest intrygantka, rządząca przynajmniej połową Europy; jest wiele innych rzeczy... a w ostatku, zapewne reprezentant nowego zwrotu: Gucio Moroz, także pół-bohater powieści.

Oprócz próżniactwa, przechadzek, gry w ruletę, plotek — osoby w Hybrydach zajmują się głównie projektami marjażów: Ewelina i Gucio kochają się jako kochankowie; stary hrabia Starża także jest bliskim zakochania się w Ewelinie, może z wzajemnością... Potomski w baronowej von Dorfer, hrabina Kaiserfeld w nicponiu Wicku emigrancie, a ten w prezesównej... Słowem: kochają się, lub udają zakochanie — niemal wszyscy!...

Ale to jest strona, nie objęta programatem powieści.

Szukamy „Hybrydów“; chcemy się rozpatrzeć w tym świecie przechodowym, obaczyć, dotknąć jego zgnilizny — niestety! szukamy napróżno. Nie ma „hybrydów“ w powieści, lub tak jak nie ma, bo Potomscy, Lubicze, Prezesowie, Hrabiny występowały już w wielu innych powieściach, z lepiej wyuczonemi rolami, i nie pod straszliwą nazwą „Hybryd!...“

Na podobne i lepsze Wiesbaden i nie Wiesbaden napatrzyliśmy się do syta wtedy, gdy nie chodziło o zaznajomienie się

z przedstawicielami świata będącego na przełomie; gdy nie mieliśmy stanąć oko w oko z śmiercią, oczekującą na nas przeżytych... Zawód więc czytelnika fatalny! coś tak, jakby zamiast podróży naokoło ziemi, przejechał się tylko w koło gazonu!... Bolesławita ty'e nam dał w tytule, ile poskąpił w książce; a myśmy pomni dawnego przysłowia: „Co po tytule, gdy nic w szkatule?“

Trudno o książkę, która by tak bardzo rozmijała się z swoim tytułem, jak ta o której mówimy; i doprawdy dziwić się potrzeba godłu „*All is true...*“ że miało odwagę na niej pozostać; bo jak autora szanuję! nie wszystko jest prawdą w jego powieści! Nie takie są nasze Hybrydy, a więc i świat ten, w którym żyją... Są to codzienne nic nieznaczące figury — tak dobrze w życiu, jak i w powieści!... Ani jest prawdą, że do zgody, do zlania się żywiołów poprowadzą nas takie, jak w powieści, Eweliny, i że takich tylko mamy reprezentantów naszej średniej klasy, jak Moroz Bolesławity, stary, a tem mniej młody... A hr. Starża, pomimo całą sympatję autora tak dobrze nie urośnie na postępowego arystokratę, jak jego Hamowski na domorosłego naszego szlachcica!

Autor jakoś dziwnie świat nasz maluje! Chciał przedstawić wady — więc gdzie jest sławne owo głupstwo, rozsiadające się tak dobrze w salonie, jak w dworku, w sklepie, lub w warsztacie? Gdzie próżniactwo, za które tak słusznie nas chłoszcze? Gdzie owo nierozumienie: czem jesteśmy? dokąd iść mamy? Gdzie starzy i młodzi? mężczyzni i kobiety?... Nasz świat jest gorszy, mniej warty, potępienia godniejszy... ale nie taki, jak w Hybrydach Bolesławity! Postacie ujemne i dodatnie wcale nie te. Od góry do dołu: dusze mętne, serca gliniane, a blichtr wszędzie... ale to nie „Hybrydy“ Bolesławity! I na lepszych nam nie zbywa, na postaciach widniejszych... Lecz to nie będą romansowo-dziwaczne Eweliny, próżniaczo-gadatliwi Starży, sentymentalno-tchórzliwi Morozowie!... W wyższej i niższej warstwie znajdziemy postacie o rysach bardziej wyrazistych, ostro markowane — i znowu inne, aniżeli u Bolesławity!

Jako „Hybrydy“ więc, powieść niniejsza jest żadną, bo zaledwie chce tego, co przedstawić winna... Jako wizerunek polaków bawiących za granicą — jest również niedokładną, i nie dającą rzeczy najważniejszej, bo: prawdy... Jako powieść o poglądach głębszych, z pretensją na wskazanie drogi, którą iść mamy — jest ona tylko zachceniem, ale niczem więcej; nie tą drogą pójdziemy, którą chciałby nam wskazać autor! — Jako historja serc... I tu nie wiele da się o niej powiedzieć.

Ewelina — postać nie nowa, a więc i nie ciekawa. Te nudzące się, romansowe, chorujące na prozo-wstręt panie znamy oddawna. Poezja... miłość... tęcze i blaski... walka ze światem, gdy przy nas serca wybrany... o tem marzy, tego chce, tyle naszych Ewelin w życiu i powieści!... Lecz czy dla tego mielilibyśmy być źle usposobieni dla powieści? — Bynajmniej! Nie rzeczy nowych — bo pod słońcem coż nowego? — ale żądamy w powieści: artystycznego przedstawienia; chcemy prawdy piękna i dobra; a tego wszystkiego tak dobrze jak nie ma w Hybrydach.

Jakkolwiek mało kwalifikująca się na idealną, Ewelina zdolna wzbudzić w nas sympatję. Kapryśna, rozmarzona, dziecko napierające się gwiazdki z nieba; wypowiadająca wojnę światu, i otwarcie, w dzień biały, szukająca miłości — ta swawolnica podbija ci serce. Z uśmiechem śledzisz za jej krokiem, patrzysz na czyny... Chce ci się naturalnie obaczyć coś takiego, czego chce, za czem dąży owe dziecko — a trafiasz na oświadczyny tak prozaiczne, tak nieudolne, jak gdybyś patrzał na lichego kochanka, źle odgrywającego swą rolę w teatrze... Na miły Bóg autorze! rozczarowałeś nas, rzuciłeś z gwiazd na prozaiczne podwórko w oświadczynach twej pary kochanków (str. 228—9) i dalej idziesz z nimi tak, jak gdyby ci chodziło nie o miłość, nie o szczęście, ale... o zawarcie tranzakcji.

Wycieczka kochanków nad morze zapewne była mniej prozaiczną; ale nie chciałeś jej opisywać; a to co zostało tak bardzo trąci ladą poczciwego Moroza, że wiadomość o pobraniu się kochanków przyjęliśmy z takiem uczuciem, jak gdyby naprzykład wiadomość o zjedzeniu objadu, przez Ewelinę i Augustyna, który zjeść musieli, nie potrzebując umarzać się głodem.

Szkoda nam Eweliny! Jej tylko, bo Guciów, Starżów i t. d. nie ciekawiśmy wcale. Jedyna to postać, która zakrawała na piękną. chociażby tylko w perspektywie... Jakoś się nie wiodło... i obejść się bez niej musimy!

Lecz coż zostało z Hybryd?... Historja Wicka?... Stara jak świat, nawet z reminiscencją Wilkońskiego: „Syna trębacza od fary!“ — i doprawdy nie pojmujemy: dla czego mu potrzeba było być emigrantem? Taki codzienny salonowiec nie potrzebował dla się krwawych scen 1863 roku! — Hrabina Kaiserfeld! — I z tą znamy się — w powieści... bo w dzisiejszym wieku już i o takie damy trudno... Rozdawać ordery, trząść dworami chociażby państewek niemieckich, mieć wpływy w Petersburgu, Paryżu i Wiedniu... jakoś się teraz nie udaje.

Potomski, Lubicz, Maksym, poczciwa ciotka — także Morozówna, nawet ojciec bohatera — figury znane, nie ciekawe i źle narysowane, szczególniej ostatni...

Wyprowadzenie Bułharyna na scenę, ma chyba służyć za dowód, że Lubicz mógł płakać, gdy usłyszał nutę mazurka Dąbrowskiego... Na nic się to nie przyda, bo łzom nie uwierzymy; a wzmianka nie na miejscu pozostaje — krzywdą człowieka. I w odstępcy powinniśmy uszanować chwile, w których przypomina sobie ojczyznę...

Dawniej, dawniej... nawet i nie za naszych czasów, kiedy to więcej mieliśmy serca, aniżeli rozumu, (którego, mówiąc nawiasem, i dziś nie wiele mamy) radzono: lat siedm trzymać rękopis w zamknięciu, zanim się go w świat puści... My nie żądamy od Bolesławity nawet dni siedmiu; ale rzeczy o wiele skromniejszej, bo: przeczytania rękopisu. Nie musiał go bowiem czytać, gdy na str. 115 spotykamy: „Polacy z Wołynia, z Kongresówki, z Galicji, z Księstwa, nawet językiem swym mówiąc, nie zawsze się rozumieli...“ Takich polaków nie było — nawet w Wiesbadenie!...

Przeczytanie rękopisu pozwoliłoby autorowi spostrzedz na str. 132, że Ewelina w natchnieniu mówi gorzej, aniżeli bez natchnienia... że na str. 128 Starża woli zostać bydlęciem, aniżeli człowiekiem; że wreszcie w dziele pierwszorzędnego autora pisownia może być więcej dokładną. Nie powinny się też spotykać w niem błędy takie, jak: zapobiedz nie będzie mu podobna... Nabijać mu się nie widzę powodu i t. d.

...*ch*....

Korespondencje.

Paryż — *28. października 1868.*

Rozmaitość, mówią, uprzyjemnia wszystko; uśmiech jest milszym, gdy przeplatany łzą rzewną w jej się odbije krysztale; słońce jaśniej świeci po burzy, kłótnia utrwala zgodę, i t. d. tysiączne, na potwierdzenie słów powyższych, mógłbym stawić przykłady... Poprzestanę jednak na tych kilku, i usłuchawszy co mi radzą: gawędy moje na ile zdołam urozmaicać, o uróżnobarwienie onych usilnie starać się będę, czepiając się z kolei wszystkiego co na dobie, śpiesząc z mem piórem tam, gdzie mię świeżość i nowość przedmiotu przynęci; zbierając wszędzie, gdzie się uda zapasy nowin i spostrzeżeń na usługi czytającej publiczności.

I tak, naprzykład, teraz daję chwilowo pokój teatrom; zajmę się raczej rzeczą, do której świeże rozpoczęcie odczytów we wszystkich naukowych zakładach Francji, nastręcza mi sposobność do pomówienia; mówić będę o tem: jak żyje, jak myśli, czuje i jak się bawi ucząca się młodzież Francuzka?

Przedmiot niewyczerpany, i sądziłbym, wcale nie obojętny dla uczącej się młodzieży naszej, która, jeśli różnicę charakteru narodowego usuniemy na stronę, równą będąc pierwszej wiekiem, jednakie, lub co najmniej: podobne z nią mieć winna gusta, usposobienia, dążności i cele.

Czy tak jest w istocie? Czy doprawdy młodzież nasza niczem innem prócz odcieni narodowego charakteru, prócz mniejszej lub większej jego żywości, prócz więcej lub mniej krwistego czy też limfatycznego temperamentu, czy doprawdy młodzież nasza niczem innem nie różni się od młodzieży Francuzkiej? Czy rzeczywiście tyle jest między niemi stron jednakich, podobnych, wspólnych? spytacie. — Otoż nie!... Z pewnym rodzajem dumy i pociechy to „nie“ wymawiam. Znając dokładnie sposób życia, zapatrywania się na rzeczy, odczuwania codziennych wrażeń młodzieży naszej i młodzieży Francuzkiej, nie powodowany żadnem stronniczem uprzedzeniem, żadnem pobłażaniem jak dla jednej tak dla drugiej strony, idąc za głosem ścisłej sprawiedliwości, młodzieży naszej tę słuszność oddać muszę, że stoi wyżej, bez porównania wyżej, niż rówieśnica jej Francuzka; że różni się od niej cieplejszem, żywiej bijącem, więcej młodem sercem. Weźmy naprzykład młodzież naszą, w Kijowie. Czasy to tak niedawne, że za dzień dzisiejszy jeszcze policzonemi być mogą. Jak tu młodzież prawdziwie młodą, pięknie młodą być umiała, ulegając wszystkim, złym i dobrym wpływom swych lat dwudziestu, szumiąc nadto może, hulając nawet... nie starzała się przedwcześnie, nie zrywała dobrowolnie z pięknemi rojeniami dni wiosennych; hulanki nie przeprowadzała systematycznie, nie czyniła jej jakoby celem, głównem zajęciem chwil swojej młodości; była hulaszczą, nie będąc rozpustną; swawolną, lekką, trzpiotowatą — nigdy jednak bezwstydną. We Francji zaś dzieje się wręcz przeciwnie.

Wejdzcie, proszę, w granice tej dzielnicy studenckiej w Paryżu „Łacińskim krajem“ (*Pays Latin*) nazwanej; otwórzcie drzwi pierwszej lepszej garkuchni, knajpy, pierwszego lepszego baliku, gdzie się młodzież zbiega, by się zabawić, nagawędzić z sobą (*Café de la jeune France*, *Beuglan*, *Bal Bullier*); przysłuchajcie się jej rozmowom, jej piosnkom; przypatrzcie się jej tańcom — a odwrócicie oczy, a zatkniecie uszy, z wstrętem i odrazą, bo piosnki te waszą godność człowieczą, wasz wstyd urażą, bo w piosnkach tych nie dźwięczy nic młodego, żywego, szlachetnego, żadne lepsze uczucie; nic! nic! prócz strasznego, głupiego rozbestwienia, prócz ciągłego szyderstwa i naigrywania się z wszystkiego, w co każdy młody z natury swej wierzyć, co każdy młody, z natury swej kochać powinien. Uczucia rodzinne: ojciec, matka, miłość, kobieta, wszystko, wszystko, ojczyzna nawet — to tyleż powodów do ohydnych, do świętokradzkich żartów. Miłować coś, szanować kogo, to dobre dla dzieci, to staroświecczyzna, średnie wieki... „nam postęp, piołunkówką oblany te wszystkie brednie z serca i z głowy wypędził!“ Kto święte rzeczy lepiej splugawić potrafi, kto je większą ilością błota obrzuci — ten zuch! na tego z podziwem i pewną zazdrością spogląda całe pokolenie siwych młodzieniaszków, ten protekcjonalnie klepie po ramieniu młodszych poczynających; weteran rozpusty, zgrai naśladowców na ślady swe wskazuje! Tańce ich — to skoki źwierzęce; tak tylko bydlę i to jeszcze bydlę ogłupiałe, pjane chucią skakać może... Gdy wejdziesz do sali, gdzie się ta piękna młodzież zabawia — to stajesz zdziwiony, sądząc, żeś wszedł do domu warjatów...

Przykro ci, boleśnie, cierpisz; czoło twe rumieniec wstydu pokrywa; uciekasz zatykając uszy, by nie słyszeć dłużej tych ryków pjanych, jakie się z młodych piersi wydobywają; tych cynicznych, grubjańskich żarcików, jakie młode usta plugawją i szpecą. Zapytany: czyś był tam? czyś widział? będziesz się wstydził „tak“ odpowiedzieć. Przed matką, przed siostrą, nigdy tego „tak“ wymówić nie zdołasz; zapiecze cię ono w gardle; będziesz kłamał, będziesz się wypierał chwilki spędzonej tam, gdzie kwiat młodzieży Francuzkiej cztery najpiękniejszych lat życia prawie ciągle przepędza.

Nie myślcie bym przesadzał. Dla przekonania się weźcie pierwszą lepszą książkę, powieści studenckie to życie w Paryżu malującą, a zdolnem piórem nakreśloną; weźcie „*La jeune France*“ Teofila Gautier „*Le Pays Latin*“ Henryka Mürger, weźcie „*Les confessions d'un enfant d'un siécle*“ znanego śpiewaka tej zacnej młodzieży, ubóstwionego jej Alfreda de Musset; weźcie wszystkie jego dzieła, w których życie to niby młode wiernie się odbija... znajdziecie tam wszystko: dużo talentu, skarby dowcipu, na pierwszych kartkach całe wulkany nie wystygłego jeszcze zapału zmysłowego; płomienne, namiętne strofy mówiące wam o czarnych oczach, wiotkiej kibici, drobnych nóżkach margrabin hiszpańskich; znajdziecie tam wszystko, wszystko! prócz — iskry ducha, prócz wiary. Owa piękna, uwielbiana i opiewana hiszpanka — to nierządnica. Przerzućcie kartek kilka, a zobaczycie: jak zawsze i wszędzie, w każdej powieści, pan młody, kochanek depce ją z pogardą nogami, plwa jej w twarz, znęca się nad upadłą. Zobaczycie, że śpiewak sam, wyrzuciwszy z serca kilka takich ładnych cacek, jak „Czasza i wargi“ (*La Coupe et les levres*) jak „Namouna“ i t. d. kończy znienawidzeniem samego siebie, cynicznem wyznaniem, że nie ma dość słów na wyrażenie uczuwanej dla samego siebie pogardy. Otoż to poeta „młodej Francji“ uwieńczony, wybrany Akademikiem za życia, które przepił w szynkowni; wychwalony, wynoszony pod niebo po śmierci! Otóż to przedstawiciel tej młodzieży! i lepszy jeszcze niż ona, bo jakkolwiek czuł źle, jakkolwiek talentu danego mu szczodrą dłonią natury użył nikczemnie i powalał go w błocie, to czynił to przynajmniej jakoś żywo z jakimś choć chorobliwym, choć gorączkowym, ale zawsze z zapałem; reszta i tego nie umie.

Wiary ani za grosz, uczucie wyśmiane, zapał wystygły gdzieś w płatnych objęciach; dużo tylko dowcipu, więcej jeszcze pewności siebie i wielkiego o zdolnościach swych mniemania — oto wiernie odbita moralna strona olbrzymiej większości młodych Francuzów! Nie powiem: wszystkich; bo jużci trudno, by z czterdziestomiljonowego narodu, nie można było wybrać garstki lepszej, szlachetniej myślącej i żywiej czującej młodzieży; taka jest i być musi; ale jej za całą tą straszną tłuszczą nie widać i nie słychać. Ona gdzieś w kątku, nad książką schylona, przepracowuje lata szkolne, by potem — jużci nie zasiąść w senacie, bo to miejsce odpoczynku dla hulającej, a na starość w maski świętoszków strojącej się młodzieży — lecz by zarabiać na życie piórem w którymkolwiek z opozycyjnych dzienników. Smutna to rzecz, lecz prawdziwa: wszystko to prawie, czem Francja dziś jeszcze pochlubić się może: podnioślejsze postacie, wyższe szlachetniejsze talenta — wszystko to na wygnaniu, za granicami kraju (Victor Hugo, Louis Blanc, Edgar Quinet) zgięte latami, przygarbione wspomnieniami lepszych czasów, lub też w szeregach opozycji.

Z młodszych, z należących do obecnie losami Francji kierującego pokolenia, jeśli który zabłyśnie talentem (rzecz bardzo rzadka), wznioślejszym polotem myśli (rzecz rzadsza jeszcze) — to doprawdy patrzy się nań z podziwem... pojmuje się uczucie, z jakiem kura owa na kaczęta wygrzane jej ciepłem patrzała.. Mimowolnie zapytujesz się siebie: „Coż to? Zkąd się mu to wziąść mogło?...“

Ale lękam się, bym porwany oburzeniem za daleko się nie zapędził... Wspomniałem coś o wygnaniu, o lepszych czasach, o opozycji — toż to przecie pełne morze polityki, po którem pływać mi nie smacznie i nie zdrowo... Wróćmy więc do portu. Obiecując na przyszłość dalszy ciąg tych gawęd o młodzieży Francuzkiej obojętniej i z zimniejszą krwią kreślić, dalszy ciąg tej linji porównawczej między życiem jej a życiem naszej, pewniejszą i mniej drgającą dłonią przeprowadzić — przechodzę obecnie do innych rzeczy, mianowicie: do przeglądu nowin, jakiemi resztę tego listu zapełnić mi wypada.

Najpierw winienem czytelnikom „Nowin“ kilka autentycznych detalów, dotyczących zapowiedzianej w przeszłym naszym liście powieści Wiktora Hugo „Z rozkazu króla“. Powieść ta w połowie tylko zasłuży na tę nazwę; forma opisowa w niej bowiem przeplatać się ma z formą dramatyczną, i razem z nią dopiero składać jedną wielce ożywioną i wielce zajmującą całość. Treścią, polem działania tej powieści, że się ją tak jeszcze nazwać ośmielę, będzie: epoka dziejów Anglji, co zamknięta między 1688 a 1705 rokiem, służy niejako za prolog, za wstęp do burzącego wszystko i burzliwego XVIIIgo wieku, i zawiera w sobie z jednej strony: panowanie królowej Anny i lorda Malboroughł, jako też olbrzymie dynastyczne wojny Ludwika XIVgo; z drugiej: mały kraik, drobną rzeczpospolitę Holenderską, całym blaskiem dobrobytu, kwitnących nauk i sztuk pięknych ozłoconą; wszystko to wzbudzone do życia potężnem piórem Hugo przyrzeka rzecz zajmującą i zapewne — piękną.

Drugą powinnością z mej strony jest małe sprostowanie co do tytułu nowej komedji p. Sardou, również w przeszłym mym liście zapowiedzianej. Tytuł ten postawiony przezemnie w liczbie mnogiej „Dewotki“ rzeczywiście zadawala się liczbą pojedyńczą: „Dewotka“ co, jak sami widzicie, ani istoty rzeczy, ani jej doniosłości nie zmienia. Proszę więc oddać hołd skrupulatności kronikarza, któren i na jedną literkę oszukać was nie odważa się!

Dalej zajmie was może wzmianka o coraz to mnożącej się ilości małych broszurek, pamfletów politycznych, na wzór owej sławnej „Latarni“ Henryka Roschefort kleconych? Lubownicy tego rodzaju literatury, prócz wzmiankowanego już raz przezemnie „*Le diable à quatre*“, który mówiąc nawiasem: zawiódł ponoś ogólne oczekiwanie, mają jeszcze „Dzwon“ (*la Cloche*), redagowany przez Ludwika Ulbach, piszącego pod nazwą Ferragus, i potem „Dzwon na trwogę“ (*le Toesin*). P. Leona Richer, atakujący wyłącznie partję klerykalną. Tak to tu powodzenie jednego kusi setki innych. Gdyby ktoś przypadkiem zyskał na ucięciu nosa — nie wątpię, że nazajutrz połowa Francji nie będzie mieć nosów.

Dzienniki zapowiadają pierwszą próbkę dramatyczną znanych tu bardzo, narodowych pisarzy, a prawdziwych braci Siamskich, bo nie rozłącznych z sobą i piszących wiecznie razem, pp. Erckmann i Chartrian. Jeśli wam o tem donoszę, to dla tego, że talent i metoda pisania tych panów wielce się według mnie, zbliżają do talentu i metody autora całej serji romansów pod nazwą Bolesławity opublikowanych. To te same wieczyste granie na jednej strunie, wyprowadzanie na scenę ciągle inaczej nazwanych, ale rzeczywiście tych samych postaci, które za pierwszym razem wielce się podoba, za drugim mniej nieco, za trzecim już tylko nudzić i do ziewania pobudzić może. Jak nasz Bolesławita powstanie 1863 roku, tak ci panowie wojny Napoleońskie za pole harców obrali, i dalej, że po nich! a w kółko! Udało się raz — czemu się razy dziesięć udać nie ma!... Ciekaw jestem: czy i na scenie, odegrzaną nam tylko dadzą polewkę?

Wracam z pierwszego przedstawienia „Mercadet“ Balzaka w teatrze Francuzkim. Sztuka ta, prawdziwe arcydzieło dowcipu, głęboką znajomością świata i rzeczy, o której traktuje nacechowana, zasługuje by o niej szerzej pomówić; dopełnienie więc tego obowiązku zostawiam do przyszłego mego listu.

Rozmaitości.

* P. Aureli Urbański napisał nową komedję p. t. „*Wojna z kuzynkiem*“, która ma być wkrótce przedstawioną na scenie.

* Nowa operetka tegoż autora p. t. „*Złote chrząszczyki*“ z muzyką p. Höslego kapelmistrza teatru polskiego, ma być daną na jego benefis.

* Zapowiadają rozstrzygnięcie konkursu. Nagrodę otrzymał „Żyd“ E. Lubowskiego z Warszawy.

Decyzja w czas po wycofaniu rękopisów przez autorów!

* Teatr Sztengla znajduje się w Wadowicach.

* Dowiadujemy się o śmierci Magdaleny Iwańskiej, która z powodzeniem występowała w teatrach prowincjonalnych.

* W miejscowej operze niemieckiej występuje obecnie p. Naudin były śpiewak opery paryzkiej — tenor.

Cokolwiek by się dało o śpiewie jego powiedzieć, p. N. nie dobiega, nie już pana Roger, którego niedawno słyszeliśmy; ale nawet ustępuje w śpiewie pp. Sontheim, Steger i innym lepszym tenorzystom niemieckim.

Opera miejscowa jest nad wszelki wyraz lichą; jeden tylko p. Niedzielski chlubny stanowi wyjątek, i on też tylko może być postawionym obok paryzkiego gościa; a w niektórych operach, jak np. w „*Rigoletto*“ śpiewem swym dorównał p. N. jeśli go nawet nie przewyższył.

P. Niedzielski miałby wielką przyszłość, gdyby nie głos jego, za słaby do sali teatralnej.

* Kwiatami usłała nasza publiczność pani Bakałowiczowej drogę powrotu do Warszawy. Z naszej strony przyczyniamy się dziś: oddaniem zasłużonego hołdu zdolnościom artystki, która powinnaby zostać wzorem dla naszych pań początkujących, a przez niesumienną krytykę wyniesionych do miana: artystek, bez żadnych praw do tego.

Pani B. nie wątpliwie nie rozwinęła jeszcze w pełni swego talentu, i z laty mieć w niej będzie scena nasza artystkę bardziej doskonałą; ale i to co jest dziś słusznie daje jej prawo do miana: znakomitości scenicznej.

Postawa ujmująca, elegancja ruchów, głos dźwięczny i przejmujący, w połączeniu z grą prawdziwie artystyczną, dają w niej artystkę pierwszego rzędu. Znać że pni. B. wyszła z dobrej szkoły, że dla swego wykształcenia się miała dobre wzory, niepośledni zapas chęci do pracy i sumienne wskazówki krytyki.

Serdecznie żegnamy miłego gościa, życząc sobie rychłego znów powitania artystki w naszem mieście; a życzeniu naszemu towarzyszy pewność, że w pni. B. scena polska zdobędzie sobie prawdziwą swą chlubę, jak dziś zdobi już ją talent artystki.

---

* Otrzymaliśmy odezwę Wydawcy „Edcyklopedji powszechnej,“ którą zamieszczamy w całości, przekonani, że obowiązkiem kraju jest dzieło tak wielkiej wagi nabywać — dziennikarstwa zaś: najgoręcej polecić go miłośnikom rzeczy ojczystych.

Odezwa brzmi:

„Rozpocząwszy w 1858 r. wydawnictwo „Encyklopedji powszechnej“ takowe przy pomocy Bożej w pierwszych dniach roku bieżącego szczęśliwie doprowadziłem do końca.

Owoc tej dziesięcioletniej usilności i pracy, już tedy blisko od roku leży dla ogólnego pożytku gotowy w całej swej okazałości, bo w dwudziestu ośmiu tomach sześćdziesięcio i kilko arkuszowych.

Wytrwałość moja w prowadzeniu tej publikacji, zjednała sobie w samej rzeczy przychylne i szczere uznanie, którego bezwątpienia część ważną zawdzięczam sumiennym trudom i nie mniejszemu także wytrwaniu redakcji i jej współpracowników.

Wszystkie pisma publiczne niejednokrotnie oddawały zasłużone pochwały kierunkowi naukowemu całego dzieła, umiejętnemu jego odrobieniu w szczegółach i tej mojej gotowości pod względem materjalnym, bez której się, przy szczupłym jeszcze u nas współudziale publicznym, w prowadzonych na większą skalę publikacjach, oczewiście obejść nie mogło.

Przez cały ciąg wychodzenia „Encyklopedji“ myśl moja do jednego tylko celu była zwróconą, do szczęśliwego ukończenia dzieła, w literaturze pomnikowego i jedynego w swoim rodzaju, którem zamierzyłem odwdzięczyć się powszechności za chętny rozkup dawniejszych wydawnictw moich. Było to poprostu życzenie podzielenia się z tą publicznością zyskami, jakie z poprzednich mych usiłowań, z ciężkiej pracy całego życia mojego odniosłem; nie taiłem bowiem przed sobą, że podobne przedsiębiorstwo nadziei znacznych zysków u nas przedstawiać nie może. Ludzie, którym takie wyznanie wyda się może do zbytku naiwnem, a raczej nieszczerem, tacy ludzie niech o tem zechcą pamiętać: że zamiłowanie każdego zawodu, może się stać namiętnością; że przywiązanie nazwiska swojego na zawsze do publikacji olbrzymiej, rzeczywiście pożytecznej i godnej trudów całego życia ludzkiego, może dla człowieka tych trudów stać się ideałem najwyższym, najpiękniejszą puścizną, jaką swoim dzieciom przekaże.

Stagnacja najzupełniejsza w ruchu księgarskim była powodem, że z poczynionego na wydawnictwo „Encyklopedji“ nakładu 120.000 rs. znaczna część została nieodzyskaną. W miarę wychodzenia tomów późniejszych, widząc coraz większy kapitał tonący w tem przedsięwzięciu, starałem się zmniejszyć go kilkakrotnie, zmniejszeniem ilości drukowanych poprzednio egzemplarzy. Poszło ztąd, że egzemplarzy tych zdefektowała się znaczna ilość, nietylko skutkiem ciągłego ubywania nabywców, lecz również z powodu, że dalsze zeszyty w daleko szczuplejszej już liczbie wychodziły z pod prasy, tak iż kompletnych egzemplarzy został się zapas mały, które, gdyby sprzedano po cenie katalogowej, po wpływach już osiągniętych, wystarczyłyby może mniej więcej na pokrycie nieodzyskanych jeszcze kosztów nakładu dzieła.

Miałem słabą nadzieję, zawsze jednak miałem nadzieję, że po ostatecznem ukończeniu Encyklopedji ci z czytelników, którzy uporczywie w ukończenie to wierzyć nie chcieli, zgłoszą się z chęcią nabycia całości, i w tym celu warunki nabycia częściowo lub w całości pozostawiłem niezmienione. Wszakże i ta nadzieja najzupełniej zawiodła. Od blisko roku, jak Encyklopedja Powszechna doprowadzoną została do ostatniej litery, sprzedanych zostało zaledwie kilkanaście całkowitych egzemplarzy. W obec takiego stanu rzeczy i nie mogąc się rozumnie spodziewać rychłej w nim zmiany, umyśliłem pozostałą liczbę egzemplarzy całkowitych znacznie obniżyć w cenie.

Z dniem tedy dzisiejszego ogłoszenia, obniżam dotychczasową cenę „Encyklopedji powszechnej“ o blisko dwie trzecie, t. j. z rs. 89 kop. 25, na rs. 30, a z kosztami przysełki pocztą rs. 35. To obniżenie ceny trwać będzie do dnia 1. lipca 1869 r., jeżeli do czasu tego zapasy wystarczą.

Wypada ztąd, że każdy tom tego dzieła, w całości nabytego, wypadnie po rs. 1 i kilka kopiejek, kiedy dotąd, obliczony na cenę, odpowiednio do kosztów nakładu, bynajmniej nie wygórowaną, kosztował po rs. 3 kop 15. Wypada ztąd, że chociażby nawet w czasie jak najkrótszym wszystkie pozostałe egzemplarze tego wydawnictwa zostały sprzedane, nie zwrócą jeszcze kapitału w nie włożonego. Ale przynajmniej ludzie, dla których cena dotyczczasowa, jeżeli nie nabywali „Encyklopedji“ w czasie jej wychodzenia częściowo, zeszytami, trudną jest, lub niepodobną do uiszczenia, będą mogli za sumę mało znaczącą przyjść do posiadania dzieła, które im w części wiele dzieł innych, całą może bibliotekę zastąpić potrafi.

Osoby życzące sobie nabyć pojedyncze tomy lub zeszyty „Encyklopedji,“ mogą to czynić o tyle, o ile pozostałe tomy, lub poszyty nadkompletne wystarczą, płacąc za tomy 1 do 18 włącznie po rs. 3 kop. 15, tomy 19 do 23 po rs. 2, tomy zaś 24 do końca po rs. 2 kop. 50. Pojedyncze poszyty po 35 kop.

Wyłuszczeniem powyższem miałem na myśli przekonać publiczność, że środek obecnie przezemnie podjęty, nie jest zwyczajnem zniżeniem cen książek w stosunku do dawniejszej katalogowej, przedsiębranem zwykle wtenczas dopiero, kiedy rozprzedaż po owej cenie dawniejszej już należycie nietylko pokryła wszystkie nakłady, lecz także przyzwoite zapewniła korzyści. Zniżenie tak znaczne bowiem, nawet przy najlepszym rezultacie zaledwie część nieodzyskanych kosztów nakładu pokryć może.

Przewiduję, że fakt ten, który bezwątpienia nie przejdzie w dziejach naszego księgarstwa niepostrzeżony, nie miłe uczynić może wrażenie na posiadaczah Encyklopedji, którzy nabyli to dzieło po cenie dawniejszej, i którzy obecnie uważać się mogą za niesłusznie skrzywdzonych. Dla nich mam tylko tę jednę odpowiedź:

Gdyby nie oni, Encyklopedja zapewneby do końca doprowadzoną nie była. Dzięki tym współwydawcom szanownym, którzy od pierwszej chwili nie powątpiewali o dojściu przedsięwzięcia tego do końca, którzy je swojem poparciem podtrzymywali i choć w części podali możność do jego ukończenia.

Warszawa, dnia 25. października 1868 r. *S. Orgelbrand.*

Wszelkie posyłki pieniężne i korespondencje adresować należy: Do S. Orgelbranda wydawcy Encyklopedji w Warszawie, przy ulicy Bednarskiej Nr. 369 B.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.